



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stefania Dobrowolska

Tęsknota i łzy

Urodziłam się 1 stycznia 1927 roku w Śladkowie. W 1939 roku mieszkałam w Ozorkowie przy ulicy Bema 13.

Na moim wojennym dzieciństwie zaważyło zdarzenie, które miało miejsce w 1940 roku. Pewnego dnia szłam z mamą przez miasto, kiedy dopadł nas jakiś Niemiec. Złapał mnie za rękę, odebrał od mamy i na siłę zaciągnął do kina w Ozorkowie. Nic nie pomagał mój płacz i błagania matki. W kinie było już pełno dzieci takich jak ja i starszej młodzieży. Gdy już zebrano się nas dostatecznie dużo podjechał tramwaj, do którego pognali nas Niemcy. Zapłakane matki walili pyłami. Moja mama zdjęła z siebie sweter i chustkę z głowy i podała mi. Zauważył to Niemiec. Podskoczył do mamy i zaczął ją bić, że aż upadła. Wtedy tramwaj ruszył. Zaczął się przeraźliwy krzyk i płacz dzieci. Ja też płakałam, bo nie wiedziałam czy moja mama żyje.

Wieczorem dojechaliśmy do jakiegoś obozu. Umieszczono nas w dużej, brudnej sali. Na podłodze stały prycze z desek, na których leżało trochę słomy pełnej pcheł, wszy i innego robactwa. Już na miejscu spotkałam swojego starszego o 3 lata brata. Dowiedziałam się od niego, że to miejsce to obóz w Konstanzowie koło Łodzi.

W obozie karmili nas chlebem i wodą. Dostawaliśmy tylko tyle, żeby nie umrzeć. Siedzieliśmy tam dwa tygodnie. Pewnego dnia wywieźli nas nocą w nieznanym kierunku. Jechaliśmy bardzo długo. Rano byliśmy na miejscu. Zapędzili nas do budynku, na którym był napis: „Halle – Salle”. Był tam lekarz, który kierował nas do prac w różne strony. Najpierw wyznaczono tych najstarszych do prac cięższych w fabryce, a potem młodszych do bauerów. Rano podjechał traktor, naładowano nas na przyczepę i odjechaliśmy. Nie mogę sobie przypomnieć, czy to był Lips czy Treuburg – tam był nasz Arbeitsamt. Zostało nas sześćoro dzieci. Umieraliśmy z głodu i pragnienia. Po kilku godzinach przyjechał po nas bauer bryczką zaprzęzoną w jednego konia i zabrał do swojego gospodarstwa. Nazywał się Emil Schnicke. Porozprowadzał nas po okolicznych bauerach. Ja byłam ostatnia na liście. Gdy zaprowadził mnie do ostatniego gospodarstwa, tamtejszy gospodarz zapytał zdziwiony:

– Taka mała?

– Urośnie ci – odpowiedział Schnicke.

Rosłam pędzona do pracy od świtu do nocy. Przez pierwsze dni nie czułam rąk ani nóg. Mój bauer nazywał się Wilhelm Noth. Na powitanie jego żona kazała mi rozwinąć mój tobołek i pokazać, co w nim mam. Wszystko wyrzuciła. Bardzo mi było żal mamy i mojego wyposażenia, więc zaczęłam płakać, ale gospodyni szarpnęła mnie i zaprowadziła do pokoju. Ubrała mnie w swoje ubranie (taką szeroką bluzę i długą spódnicę) i zabrała w pole do roboty.

Moja pierwsza praca polegała na wybieraniu ziemniaków z rei, w której było dużo myszy. Bardzo się ich bałam, a mój szef łapał je, gniótł w rękach i wyrzucał. Po pracy poszłam na obiad. Była jakaś zupa i ziemniaki w mundurkach. Po tym jedzeniu bardzo rozboleł mnie brzuch i miałam silną biegunkę. Później bauerka uczyła mnie szykować paszę dla świń. Kazała wozić dużą taczka obornik. Następnego dnia rano dała mi wiadro i kazała doić krowy. Ja nie umiałam – bałam się krowiego ogona, bo uderzał mnie po twarzy. Niemka obserwowała moje zachowanie i nerwowo mnie szarpnęła, aż się przewróciłam w gnój razem ze stołkiem. Było tam osiem krów do dojenia. Powoli uczyła mnie doić, aż mnie ręce rozboleły. Potem musiałam wyrzucić gnój i przynieść paszę. Po tej robocie było śniadanie – chleb z syropem i herbata. Po śniadaniu w pole.

Co drugi dzień rano musiałam wywieźć gnój od świń, a było dziesięć chlewów po 8-10 sztuk i więcej. I tak stopniowo nauczyłam się wszystkiego. Codziennie o piątej rano musiałam wstawać i zaczynałam od dojenia krów i karmienia świń oraz wywozu obornika. Następnie należało posłać słomę i dopiero dać paszę. Potem to samo śniadanie – syrop z buraków cukrowych, a po jedzeniu z szefem w pole oddalone o 2-3 kilometry.

Obiad bauerka przynosiła w pole. Pół godziny odpoczynku i dalej do roboty. Choć byłam już bez siły, musiałam nakarmić inwentarz – nikt nie miał nade mną litości.

Po pracy szefowa wołała na kolację. Nie pamiętam, czy był kiedykolwiek kawałek kielbasy. Gdy po kolacji szłam do swojego pokoju zmęczona pracą, stawałam w oknie i strasznie płakałam za mamą, za domem, za rodziną. Przez łzy widziałam swoją mamę, za którą tak bardzo tęskniłam. Przez długie miesiące myślałam, że mnie odwiedzi, ale to były płonne nadzieje.

Tak mijały dni. A pracy było coraz więcej i coraz cięższa. Raz odmówiłam, to bauerka uderzyła mnie w twarz, aż poleciała mi krew. Nikt się nade mną nie zlitował. Chciałam od nich uciekać, ale szef doszedł do mnie i powiedział, że już nie będą mnie bić. I zostałam. Nie bili, ale dokuczali i tak cierpiałam pięć lat.

W lutym 1944 roku zmarł mój szef. Po jego śmierci zaczęli przyjeżdżać całymi rodzinami Niemcy wygnani z Polski. Oni nam pomagali i było już trochę łżej.

Wiosną 1945 roku wyzwolili nas Amerykanie. Była to dla nas, Polaków, wielka radość. Pracowaliśmy nadal, ale już nie przymusowo. Czekaliśmy tylko na dzień, kiedy wrócimy do Polski. Wreszcie doczekaliśmy się. Pewnej nocy Amerykanie ogłosili wyjazd pierwszego transportu Polaków do kraju. Wszyscy z radością opuścili miejsce zesłania. Podróż była długa i ciężka. Jechaliśmy pociągiem przez dwa tygodnie. Na każdym dworcu dawali nam chleba i picia do syta. Dojechaliśmy do Czechosłowacji. W Pińsku Amerykanie oddali nasz transport Rosjanom, a ci przeladowali nas do wagonów węglowych. Na każdej stacji odczepiali lokomotywę i staliśmy kilka dni głodni i spragnieni. W nocy nasi chłopcy wychodzili na pola po kartofle, marchew, buraki, aby tylko przeżyć. Przy dworcu stawialiśmy 2 cegły i puszkę od konserw i gotowaliśmy to, co zdobyliśmy. To był już czerwiec. Pamiętam, że 24 czerwca rwałam przy torach kwiatki na imieniny dla koleżanki Janki.

W końcu dojechaliśmy do Polski. Na każdej stacji bardzo mile nas witano: „Witajcie Polacy z niewoli!”, „Witajcie Rodacy!”, „Rodacy! Wita Was Polska!”, „Wita Was Wyzwolona Ojczyzna!” itp. Jakże to było miłe i radosne powitanie! Do oczu cisnęły się łzy.

Wreszcie dotarłam do rodziny. I znów byliśmy razem. Brat też wrócił do rodzinnego domu do Ozorkowa. W grudniu 1945 roku wyszłam za mąż za chłopca, z którym wróciłam z niewoli. Wychowałam czworo dzieci. Zamieszkałam w Płocku pod nazwiskiem Stefania Mokrzanowska. Przeżyłam z mężem 48 lat, a teraz jestem wdową.